

Moja ciągle aktualna odpowiedź na "histerię gazową", która osiągnęła u nas szczyty po podpisaniu kontraktu przez Rosję i Niemcy na gazociąg Bałtycki.

MACZUGA ENERGETYCZNA.

Wraz z powołaniem komisji śledczej do wyjaśnienia powodów zatrzymania prezesa PKN Orlen, wróciło na wokandę bezpieczeństwo energetyczne kraju, jako problem niezmiernie aktualny ze względu na, jak się twierdzi, dążenie Rosji do podporządkowania Polski i innych krajów przez uzależnienie od dostaw gazu i ropy. Sensacyjnie wyraził ten pogląd Zbigniew Siemiątkowski na posiedzeniu komisji śledczej 27 października br; „Oczywiście większość informacji, które chciałbym w tej sprawie przekazać państwu, mogę przekazać na niejawnym posiedzeniu komisji, ale tu, przy kamerach, generalnie mogę powiedzieć, że to, co uprawia Rosja, przynajmniej w sektorze paliwowym w krajach Europy Środkowej, to nowy imperializm gospodarczy....obecnie na drodze gospodarczej następuje restauracja imperium rosyjskiego, zgodnie z hasłem "wczoraj tanki, dzisiaj ropa". Komisarzy zastąpili przedsiębiorcy, listy politbiura - wziętki, ale cel pozostał ten sam”. Nie wiem, co wie poseł SLD, by z, mam nadzieję, odpowiedzialnością za słowa, głosić tak alarmistyczne dla Polaków opinie, więc nie mogę się do nich odnieść. Tym bardziej, że podzielam podejrzenia, iż celem Putina jest zwiększenie zdolności Rosji do wpływania na politykę europejską i światową, zgodnie z imperialną tradycją, którą Rosjanie nadal cenią. Rosja pozostaje dla nas krajem potencjalnego ryzyka, którego nie

można lekceważyć. Ale nie dopuścimy do przerastania zrozumiałego uczulenia w totalną podejrzliwość, w wypatrywanie wokół agentów rosyjskich, w patrzenie na każdy kontrakt ze wschodem, jak na element planu zawładnięcia Polską. A coś takiego narasta. Sprzyja temu zrobienie z kwestii energetycznej jednej z maczug politycznych dla niszczenia „postkomunistów”, dla zrealizowania dawnego marzenia o „historycznym rozliczeniu”, o rewanzu za PRL.

Jak ma się sprawa z bezpieczeństwem energetycznym? Otóż Polska jest krajem o bardzo wysokiej samowystarczalności w tej dziedzinie, znacznie przekraczającej średnią Unii Europejskiej, czy OECD. W roku 1999 (najbliższy rok, dla którego mam pełne dane, ale sytuacja nie uległa istotnej zmianie) 68 % surowców energetycznych zużywanych w Polsce to były paliwa stałe, czyli węgiel i to krajowy. Udział ropy naftowej, w całości importowanej, wynosił 20 %, a udział gazu 11%, z tym, że 4,8 % pochodziło z naszych źródeł. W sumie około 73 % surowców energetycznych było pochodzenia krajowego, a 27% importowaliśmy. Warto to wiedzieć, bo w ferworze politycznej i medialnej młócki powstaje wrażenie, że cała energetyka wisi na Rosji, tym bardziej, że o krajowych zasobach alarmiści milczą, jakby chcieli rozpalić problem do białości, i chyba chcą. Oczywiście te 27 % z importu, to nie mało. Zaspokaja on potrzeby transportu na paliwie ropopochodnym, części ciepłownictwa i niektórych gałęzi przemysłu. Ponadto udział sprowadzanych surowców energetycznych rośnie i będzie rósł, choć w tempie umiarkowanym. Węgiel

długo pozostanie liderem polskiej energetyki. Importowa część podaży surowców jest ważna, ale ta część, która dotyczy ropy, czyli trzy czwarte przywozu jest poza potencjalnym zagrożeniem ze strony Rosji. W Porcie Gdańskim mamy cztery terminale pozwalające przeladować w roku, 34 miliony ton ropy i produktów ropopochodnych z tankowców o wielkości do 300 tys. DWT i 25 milionów ton przestać ropociągiem do Płocka. Polska zużywa około 19 mln. ton ropy a Płock przerabia 12 mln. Mamy, więc dostęp do wszystkich źródeł ropy naftowej na świecie o wydajności znacznie przekraczającej potrzeby. Po prostu, w razie czego, możemy ją kupić i kazać sobie przywieźć. Bazą Paliw Płynnych w Gdańsku zarządzają dwie spółki, jedną z nich jest słynny ostatnio Naftoport. W przekazie medialnym to istne Klewki, tylko nie do lądowania talibów, ale Ruskich, którzy nas chwycą za gardło. To absurd. W Naftoporcie państwo ma łącznie 47,45 % udziałów a reszta należy do Orlenu (48,7) i do sławnej spółki J&S (3,85 %). Taka struktura kapitałowa, wedle rozpaczających nad naftowym zagrożeniem Ojczyzny miałaby w krytycznym momencie przeszkodzić sprowadzeniu potrzebnej ilości ropy drogą morską. Otóż to jest niemożliwe. Naftoport to podmiot położony na terytorium objętym suwerennością państwa polskiego. Żadna struktura kapitałowa nie mogłaby być i nie byłaby przeszkodą przed wykonaniem jego suwerennych praw w razie aktu agresji, jaki stanowiłaby próba uniemożliwienia importu ropy, w przypadku przerwania dostaw z Rosji. Nie wyobrażam sobie, by jakakolwiek firma na takie działanie się odważyła. Gdyby jednak, to mamy „Ustawę o stanie wyjątkowym” z 21 czerwca 2002

roku. Artykuły 2,11 i 21 pozwalają, w razie zagrożenia bezpieczeństwa publicznego, a to byłoby zagrożenie, narzucić podmiotom gospodarczym w kraju, lub na danym terenie, na przykład w Gdańsku, odpowiednie działania i wymusić je siłą. Kompania wojska wystarczyłby do przypomnienia, kto jest suwerenem na wybrzeżu Gdańskim, a także w rafineriach, gdyby kupiły je rosyjskie koncerny (proszę nie uważać tego za postulat), i uznały, że przestają przerabiać w nich ropę, choć nie wiem, po co miałyby to robić. Są też prawne podstawy nacjonalizacji. Więc nie ma, co straszyć spółką J&S, czy kim tam, bo to są strachy na Lachy i świadczą o ignorancji, albo manipulowaniu opinią publiczną. Dla bezpieczeństwa, czyli gwarancji dostaw ważne jest, że na terytorium państwa znajduje się techniczna struktura pozwalająca przetładować odpowiednią ilość ropy w razie potrzeby. Tylko blokada Bałtyku uniemożliwiłaby posłużenie się Naftoportem, ale to by była wojna. Nie będę kruszył kopii, czy państwo powinno mieć większość w Naftoporcie, czy nie. Może i powinno, chociaż gwarancję respektowania jego interesów można na różne sposoby zastrzec w umowach. To samo dotyczy rafinerii, a także struktur pozwalających na przesył rosyjskiej energii na Zachód. Piszę o tym, bo pełni aferotwórczej fantazji dziennikarze dostrzegli już w pomysłach Kulczyka, by eksportować mieszankę polskiej i rosyjskiej energii, groźbę zalania nas tanim prądem z Rosji i zniszczenia nam elektrowni.

Pozostaje gaz, czyli problem około 6 - 7 % potrzebnej nam podaży surowców energetycznych. Taka jest rzeczywista skala potencjalnego

niebezpieczeństwa energetycznego. Podkreślam potencjalnego, bo nie ma podstaw, aby twierdzić, iż jest ono tuż, tuż. Ale w sprawie gazu jesteśmy nadmiernie uzależnieni od jednego państwa dostawcy, na dodatek od Rosji. Nie ma w Polsce sporu o to, że tę zależność trzeba zmniejszyć, przez zróżnicowanie źródeł dostaw. Spór dotyczy tego, jak to zrobić i jest mocno upolityczniony. Zróżnicowanie dostaw gazu zapewniające bezpieczeństwo, może być realizowane różnie. Przez podłączenie, o odpowiednio dużej przepustowości, do gazociągów Unii Europejskiej, w których krąży gaz rosyjski, norweski i inny. Przez utworzenie w portach terminali do odbioru gazu ciekłego i kupowania go, kiedy jest potrzebny. No i także na zbudowaniu gazociągu łączącego Polskę z innymi niż rosyjskie, w naszym przypadku z norweskimi, złożami. Każdy z tych sposobów daje bezpieczeństwo dostaw i żaden z nich nie ma z góry danej przewagi nad innymi. O tym, który jest najlepszy musi decydować analiza ekonomiczna. Błąd w strategii gazowej rządu Jerzego Buzka, powielany do dziś przez część komentatorów i polityków prawicy polegał i polega na politycznej wyłącznie preferencji dla dywersyfikacji przez budowę gazociągu norweskiego, bez przeprowadzenia analizy odnośnie jego ekonomicznej wykonalności i efektywności. Nie istniała, to wiem, i sądzę, że nie istnieje, analiza porównawcza różnych sposobów zróżnicowania dostaw gazu. Gazociąg norweski został uznany za jedyny do przyjęcia, bo gwarantował, że nie będzie przez niego płynął gaz rosyjski, czego nie gwarantowało podłączenie do gazociągów europejskich. Tyle, że jest to bez znaczenia dla bezpieczeństwa dostaw, tak długo jak długo w

gazociągach europejskich płynie gaz ze złóż w różnych krajach. Wybór został dokonany - mówię łagodnie - pod wpływem daleko posuniętego uprzedzenia wobec Rosji, które wypchnęło poza pole rozważań kalkulację ekonomiczną, co jest niedopuszczalne w przypadku decyzji o takiej skali skutków, także finansowych. Gdyby analizę przeprowadzono prawie na pewno okazałoby się, że wariant norweski jest najgorszy z możliwych, a przede wszystkim nierealny. Najbardziej wątpięcymi w jego wykonalność byli sami Norwegowie domagając się, bezprecedensowych w praktyce europejskiej gwarancji rządowych na zabezpieczenie płatności dostaw gazu za całe 15 lat obowiązywania ewentualnego kontraktu. Żaden odpowiedzialny rząd, szczególnie w istniejącej u nas sytuacji, takich gwarancji nie powinien być i nie mógłby dać.

Na kwestię zróżnicowania dostaw gazu i to realizowaną jakimkolwiek sposobem wpływa, bowiem poważnie kontrakt na dostawy z Rosji zawarty w roku 1996, w oparciu o porozumienie międzyrządowe z roku 1993, zwany potocznie kontraktem „jamalskim”. Polska zobowiązała się w nim odebrać w ciągu 25 lat, poczynając od roku 1997, 250 miliardów metrów sześciennych gazu, na zasadzie „bierz lub płać” i bez prawa reeksportu ewentualnych nadwyżek. Kontrakt zawarto w oparciu o prognozę zapotrzebowania na gaz, które miało dojść w roku 2010 do poziomu 20 - 25 miliardów metrów sześciennych. Była to prognoza księżycowa, zapewne ekstrapolująca wysoką dynamikę zużycia gazu w ostatnim okresie PRL, czyli w gospodarce skrajnie

marnotrawnej, jeśli chodzi o zużycie surowców. Wpłynęły na nią też bardzo optymistyczne w połowie lat 90- tych prognozy rozwoju gospodarczego. Byliśmy wszak zrywającym się do lotu „Orłem Europy”. Tymczasem w roku 2002, osiem lat przed końcem prognozy zużycie gazu wyniosło 13 miliardów i zwiększyło się przez 11 lat, o 2 miliardy metrów sześciennych. W roku 2010 wyniesie może 15 - 16 miliardów. Okazało się, że gazu zakontraktowano o wiele za dużo i że, bez radykalnego zmniejszenia dostaw z Rosji, nie ma pola dla jakiegokolwiek dywersyfikacji. Wobec ujawnienia się nadwyżki gazu rząd Leszka Millera wystąpił o renegocjowanie kontraktu. W styczniu 2003 roku zawarto porozumienie, w którym między innymi zmniejszono rozmiary dostaw o około 35 %. Oddalono w ten sposób groźbę płacenia za gaz niemożliwy do zużycia, a nawet odbioru (brak możliwości reeksportu i magazynów do przechowywania), ale wolna przestrzeń dla dywersyfikacji nie powstała, bo aby to osiągnąć zmniejszenie kontraktu musiałoby być znacznie większe. Rosja, ze zrozumiałych względów nie chciała się na to zgodzić, a Polska nie miała możliwości, żeby to na niej wymóc. Taka sytuacja będzie trwała jeszcze sporo lat i radykalnych rozwiązań się nie znajdzie, więc trzeba ją „polubić” i robić to, co można. Trzeba bronić się przed fobią antyrosyjską, prowadzącą do wywoływania napięć z Rosją, które mogą nam tylko szkodzić. Z Rosją musimy handlować i chcemy w niej inwestować, więc nie możemy zamknąć granic przed rosyjskimi firmami, także związanymi z państwem i także z sektora paliwowego. Trzeba dobrze negocjować warunki dostępu do polskich aktywów i patrzeć im na ręce. To dotyczy zresztą wszystkich. Trzeba

sprzęgnąć polski system gazowniczy, na tyle na ile to będzie możliwe z gazowniczym systemem Unii Europejskiej, tak, żeby bezpieczeństwo energetyczne Unii, było zarazem naszym bezpieczeństwem, a zagrożenie przez kogokolwiek naszego bezpieczeństwa także zagrożeniem bezpieczeństwa Unii. Najlepiej byłoby gdybyśmy całą ilość gazu importowanego sprowadzali z Rosji, bo to gaz najczystszy i najtańszy, i gdybyśmy mieli, odpowiednio wydajne, techniczne możliwości - terminalem do gazu skroplonego lub gazociągiem - płynnego przetrzucenia się na innego dostawcę (zakupy typu swap) w razie problemów z dostawami rosyjskimi. Myślał o czymś takim niezwykły już wybitny specjalista od problematyki paliw profesor Aleksander Szpilewicz, z którego pomocy kiedyś korzystałem i którego chciałbym przy okazji przypomnieć.

Nie wisi nad Polską energetyczne niebezpieczeństwo, choć są problemy do rozwiązania. Robienie wokół tego wielkiego larum ma mało wspólnego z rzeczywistością, jest mieszanką gorączki, ignorancji i co najgorsze politycznego wyrachowania niewahającego się przed mieszaniem ludziom w głowach, wywoływaniem niepokoju opinii publicznej i budzeniem nacjonalistycznych emocji, które mogą tylko utrudnić Polsce osiągnięcie dobrej pozycji w Unii Europejskiej i w regionie.

(Opublikowane w "Polityka" nr. 49/2004)

